

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**ROBERT LOUIS
STEVENSON**

KATRIONA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZEŚĆ PIERWSZA

LORD PROKURATOR

I. Z ŻEBRAKA STAJĘ SIĘ PANICZEM

Dnia 25 sierpnia 1751 roku, około godziny drugiej po południu, ja, Dawid Balfour, wyszedłem z British Linen Company w towarzystwie tragarza niosącego worek z pieniędzmi, podczas gdy kilku, i to niepoślednich, przedstawicieli tego domu handlowego odprowadzało mnie do drzwi, kłaniając się uniznienie. Przed dwoma zaledwie dniami, a nawet nie dalej jak poprzedniego ranka, byłem odzianym w łachmany, włóczącym się po drogach żebrakiem, parę szylingów składało się na cały mój majątek, towarzyszył mi ścigany zdrajca, na moją zaś głowę wyznaczono cenę za zbrodnię, o której po całym kraju rozbrzmiewały wieści. A oto dzisiaj doszedłem moich praw, stałem się dziedzicem ziemskiej posiadłości, idący obok mnie tragarz niósł moje złoto, w kieszeni miałem listy polecające i, jak to powiadają, wiatr dął prosto w moje żagle.

Dwie jednak okoliczności stawały na przekór tym powodzeniom. Pierwszą była bardzo trudna i niebezpieczna sprawa, jaką miałem załatwić, drugą – miejsce, w którym się znajdowałem. Wszak obracałem się dotychczas wyłącznie wśród górskich wertepów, piasków nadmorskich wybrzeży oraz zacisznych wiejskich ustroni; ciemne miasto o wysokich domach, zgiełk i ruch panujący wszędzie dokoła stanowiły dla mnie nowy, zadziwiający świat. Onieśmiało mnie zwłaszcza poruszanie się wśród ciżby jego obywateli. Syn Rankeillora był małego wzrostu, szczupły w ramionach i w pasie, z trudem więc mieściłem się w jego odzieży i zdawałem sobie sprawę, że krocząc przed tragarzem domu handlowego narażę się niewątpliwie na śmiech przechodniów, a co gorzej, mój nieliczący z zamożnością wygląd może ich skłonić do zainteresowania się moją osobą. Toteż postanowiłem zaopatrzyć się we własne suknie, a tymczasem szedłem obok tragarza, trzymając go pod rękę, jak byśmy byli parą przyjaciół.

U jednego z kupców w Luckenbooth wystroiłem się jak należy. Niezbyt wykwintnie, nie chciałem bowiem uchodzić za parweniusza, ale godnie i chędogo, tak aby wzbudzać szacunek u służby. Stamtąd udałem się do płatnerza i wybrałem sobie skromną szpadę dostosowaną do mego stanu. Tak uzbrojony zyskałem na kontenansie, chociaż zważywszy, iż nader kiepsko umiałem nią władać, można by ją uznać za jeszcze jedno grożące mi niebezpieczeństwo. Tragarz, człek z tytułu swego zawodu doświadczony, pochwalił mój wybór.

– Nic jaskrawego – mówił – prosty, przyzwoity przyodziewek. A rapirek przystoi nosić szlachcicowi. Ale będąc na pańskim miejscu korzystniej wydałbym moje grosiwo. – I zaczął mnie namawiać do kupienia „nadmierzalnie trwałych”, wełnianych gaci, wyrabianych przez jakąś jego kuzynkę, zamieszkałą tuż za bramą miasta zwaną Cowgate.

Miałem jednak pilniejsze sprawy na głowie. Znajdowałem się w Edynburgu, starym, mrocznym mieście będącym gmatwaniną uliczek, zaułków, przejść, dziedzińców i przeróżnych zakamarków, w których, jak króliki w norach, gnieździło się mrowie jego mieszkańców. Żaden obcy przybysz nie zdołałby tam odnaleźć przyjaciela, a tym bardziej nieznanego. Nawet gdyby mu się udało dotrzeć do właściwego zaułka, ludzie mieszkali tak stłoczeni w tych wysokich domach, że dzień cały mógłby upłynąć, zanim by natrafił na właściwe drzwi. Zwykło się więc wynajmować chłopca (zwano ich „caddie”), który służył za przewodnika, prowadził, dokąd zażądałeś, a gdy załatwiłeś swoje sprawy, odprowadzał do kwatery. Ci

chłopcy, spełniający zawsze te same posługi i których obowiązkiem było znać każdy dom i każdą osobę zamieszkałą w mieście, stali się z czasem jakby bractwem szpiegów. Wiedziałem z opowiadań pana Campbella, że byli w stałym kontakcie i że objawiali uporczywą ciekawość względem swego każdorazowego pracodawcy; jednym słowem, byli okiem i uchem policji. W sytuacji, w jakiej się znajdowałem, puszczenie na moje tropy takiego ogara byłoby zaiste dowodem nieroztropności. Musiałem nieodroźnie odwiedzić trzy osoby: mego krewniaka pana Balfoura z Pilrig, Stewarta, prawnika i pełnomocnika Stewartów z Appin, tudzież Williama Granta z Prestongrange, lorda prokuratora Szkocji. Wizyta u pana Balfoura nie narażała nikogo; mieszkał na wsi i uznałem, że potrafię sam do niego dotrzeć za pomocą moich obunóg i obrotnego języka w gębie. Pozostałe natomiast wizyty zapowiadały się zgoła inaczej. Zgłoszenie się u pełnomocnika mieszkańców Appin, w czasie gdy wszędzie aż wrzało o dokonanym na ich ziemiach morderstwie, było już samo w sobie niebezpiecznym przedsięwzięciem, a co gorsza trudnym do pogodzenia z wizytą u lorda prokuratora. Z tym ostatnim czekała mnie, w najlepszym razie, nader ciężka przeprawa. Audiencja zaś u niego wkrótce po rozmowie z pełnomocnikiem Stewartów z Appin nie usposobiłaby go zapewne przychylnie do mojej osoby i mogłaby doprowadzić do zguby mego przyjaciela Alana. Ponadto te wszystkie moje zabiegi wywołałyby wrażenie, że oddając przysługi obu przeciwnym obozom, siedzę niejako na dwóch stołkach, co nie przysporzyłoby mi zaszczytu. Postanowiłem więc uporać się niezwłocznie z panem Stewartem oraz całą jakobicką stroną moich kłopotów i skorzystać w tym celu z przewodnictwa idącego obok mnie tragarza. Zaledwie jednak podałem mu adres, zaczął kropić deszcz – niezbyt dokuczliwy, lecz miałem moją nową odzież na względzie – schroniliśmy się więc w sklepionej bramie prowadzącej do zaułka.

Wszystko, co mnie otaczało, było mi zupełnie obce, podszedłem więc nieco w głąb wąskiego, brukowanego, chyżo w dół opadającego zaułka. Po obu jego stronach wznosiły się niezwykle wysokie domy, a każde następne ich piętro wystawało coraz dalej na zewnątrz, tak że ponad nimi widoczny był zaledwie wążutki, jak wstążka, skrawek nieba. Z tego, co mogłem dostrzec w oknach, oraz sądząc z postawy wchodzących i wychodzących osób, wywnioskowałem, że w tych domach mieszkają ludzie zamożni. Wszystko to podniecało moją ciekawość jak bajka.

Podczas gdy tak się gapiłem, rozległ się nagle za mną miarowy tupot nóg i szcęk stali. Odwróciwszy się szybko, ujrzałem kilku uzbrojonych żołnierzy, a wśród nich wysokiego mężczyznę w płaszczu. Szedł nieco pochylony, jakby uniżenie, poruszając dłońmi nieco przymilnym gestem, a na jego przystojnej twarzy malowała się natrętna przebiegłość. Zdawało mi się, że spojrzął na mnie ukradkiem – ale bystro. Ta procesja podeszła w zaułku do drzwi, które otworzył lokaj w bogatej liberii. Dwóch żołnierzy wprowadziło więźnia do domu, reszta zaś, oparta o swoje muszkiety, pozostała za progiem.

Jak to zwykle bywa, gdy się coś dzieje na ulicach wielkiego miasta, zebrała się koło nich gromadka dzieci i gawiedzi. Rozeszła się jednak wkrótce i pozostały tylko trzy osoby. Jedną z nich była młoda dziewczyna, ubrana po pańsku, w toczku z tartanu o barwach klanu Drummond. Towarzyszyło jej dwóch odzianych w łachmany rękodajnych, jakich tuzinami widywałem podczas moich wędrówek w Górnej Szkocji. Cała ta trójka rozmawiała żywo po szkocku, a ja słuchałem z przyjemnością tej mowy, przypominającej mi Alana. I aczkolwiek deszcz ustał i mój tragarz pociągał mnie za rękaw, dając mi znać, że czas już ruszyć w dalszą drogę, nasłuchiwałem nadal, a nawet podszedłem bliżej do nich. Panienska fukała ostro, oni zaś tłumaczyli się i kłaniali pokornie, nie wątpiłem więc, że pochodziła z wielmożnego domu. Nie przestając rozprawiać cała trójka przeszukiwała swoje kieszenie i z tego, co mogłem wymiarkować, wynikało, że posiadali razem nie więcej jak ćwierć pensa. Wszyscy ci górale są tacy sami – pomyślałem z uśmiechem – prześcigają się w dwornościach, a nie mają grosza przy duszy. Wtedy właśnie dziewczyna nagle się odwróciła i ujrzałem jej twarz po raz pierwszy.

Nie ma nic bardziej zadziwiającego od wrażenia, jakie twarz młodej kobiety potrafi wyrzeć na mężczyźnie; pozostaje wyryta w jego pamięci, nie wiedzieć dlaczego. Rzekłbyś, tego tylko widoku pożądał. Miała prześliczne, jasne oczy, lśniące jak gwiazdy i one przede wszystkim to sprawiły. Najlepiej jednak pamiętam jej nieco rozchylone wargi, w chwili gdy zwróciła się ku mnie. Dla takich czy innych powodów stałem gapiąc się na nią jak głupiec. Ona zaś, jako że nie wiedziała, iż ktoś tak blisko niej się znajduje, spojrzała na mnie nieco dłużej, okazując cokolwiek więcej zdziwienia, niż zezwała na to grzeczność.

Czyżby raziła ją moja nowa odzież? Taka myśl powstała w mojej prostackiej głowie i zaczerwieniłem się po same uszy; co widząc doszła zapewne do odpowiedniej o mnie konkluzji, gdyż kazała obu swym sługom odejść dalej w głąb zaułka, gdzie znowu zaczęli się kłócić, lecz nie mogłem już nic dosłyszeć.

Nieraz mi się już zdarzyło podziwiać dziewczynę, choć nigdy chyba tak nagle i tak gwałtownie, i nieśmiałość raczej niż dufność cechowała zazwyczaj moje w takich wypadkach postępowanie, obawiałem się bowiem kpin niewieścich. Zdawałoby się zatem, że skwapliwiej niż kiedykolwiek powinienem był zastosować ostrożną taktykę; wszak spotkałem tę młodą lady na ulicy, podążającą jakby w ślad za więźniem i w towarzystwie dwóch obdartych i nieokrzesanych górali. Tym razem jednak innego rodzaju uczucie wchodziło w grę; ta dziewczyna posądzała mnie niewątpliwie o podsłuchiwanie jej sekretów. A czując wytworne szatki na grzbiecie i szpadę u boku, nie mogłem się z czymś podobnym pogodzić. Świeżo upieczony panicz nie mógł znieść takiego poniżenia, a już na pewno nie ze strony tej panienki.

Podszedłem więc do niej i zdejmując kapelusz ukloniłem się z całą gracją, na jaką potrafiłem się zdobyć.

– Dostojna pani – rzekłem – sędzę, że gwoli obrony pani o mnie mniemania winienem jej powiedzieć, że nie znam szkockiego języka. Przysłuchiwałem się pani rozmowie, to prawda, mam bowiem przyjaciół w Górnej Szkocji i miły mi jest dźwięk tej mowy, lecz jeśli chodzi o pani prywatne sprawy, gdyby pani mówiła po grecku, łatwiej bym potrafił coś wyrozumieć.

Dygnęła lekko i chłodno. – Nie szkodzi – odpowiedziała ładnym, zbliżonym do angielskiego akcentem. – Kotu wolno patrzeć na króla.

– Nie zamierzałem pani obrazić. Nieświadom jestem miejskich manier, dzisiaj po raz pierwszy przekroczyłem bramy Edynburga. Proszę mnie uważać za młodzieńca ze wsi, do takich bowiem należę. Wolę to pani powiedzieć, niż gdyby pani sama miała to poznać po moim obejściu.

– Nie przystoi zaiste rozmawiać z nieznanymi na ulicy, ale skoro pan ze wsi pochodzi – to co innego. ,

Ja również jestem wieśniaczką. Jak pan widzi, Górna Szkocja jest moją ojczyzną i tęskno bardzo mi za nią.

– Nie minął jeszcze tydzień, jak przekroczyłem jej granice. Parę dni temu byłem jeszcze na stokach gór Balquhiddel.

– Balquhiddel? – wykrzyknęła. – Stamtąd pan przybywa? Na samo wspomnienie tych okolic dusza się we mnie raduje. Niedługo tam trzeba przebywać, aby poznać kogoś z mojej rodziny lub przyjaciół.

– Mieszkałem u bardzo zacnego człowieka, zwanego Duncan Dhu Maclaren.

– Znam go i trafnie go pan określa! On jest istotnie zacności człowiekiem, a jeszcze bardziej jego żona.

– Tak, to szlachetni ludzie i piękny to kraj.

– Czy gdziekolwiek jest piękniejszy na świecie? – zawołała z zapalem. – Kocham zapach tego kraju i wszystko, co tam rośnie.

Zachwyciła mnie żywość i szczerłość tej dziewczyny. – Czemuż nie przyniosłem pani gałązki tamecznych wrzosowisk? I aczkolwiek postąpiłem jak gbur, pierwszy do pani przemaszując, teraz, skoro jak się okazuje, mamy wspólnych znajomych, ośmielam się prosić o ła-

skę. Nazywam się Dawid Balfour. Szczęśliwy to dla mnie dziś dzień, gdyż stałem się właścicielem majątku ziemskiego i wyszedłem obronną ręką z grożącego mi niedawno śmiertelnego niebezpieczeństwa. Chciałbym, aby pani moje nazwisko zachowała w pamięci ze względu na Balquhider, ja zaś zapamiętam pani nazwisko ze względu na mój szczęśliwy dzień.

– Mego nazwiska się nie wymawia – odpowiedziała wyniośle. – Sto lat już przeszło, a nikt głośno nie śmie go wspomnieć, chyba że ukradkiem. Jestem bezimienna jak wróżki. A znają mnie jako Katrionę Drummond.

Wiedziałem jednak od razu, z kim miałem do czynienia. Jak Szkocja długa i szeroka proskrybowane było tylko jedno nazwisko – Macgregor. Jednakże zamiast się wycofać z tej niepożądaney znajomości, usiłowałem ją pogłębić.

– Siedziałem przy jednym stole z kimś będącym w takim samym jak pani położeniu. Chyba go pani знаła. Zwano go Robin Oig.

– Doprawdy? – zawołała. – Spotkał pan Roba?

– Spędziliśmy noc pod wspólnym dachem.

– Robin Oig to nocny ptak.

– A że była tam kobza pod ręką, więc może sobie pani wyobrazić, jak szybko czas nam upłynął.

– A więc pan chyba nie należy do naszych wrogów. Przed chwilą przechodził tędy jego brat pod strażą angielskich żołnierzy. On jest moim ojcem.

– Pani jest córką Jamesa More'a – wykrzyknąłem zdumiony.

– Córką jego jedyną, córką więźnia i rozmawiając z obcymi nie powinnam o tym, nawet na chwilę, zapomnieć!

W tej chwili zwrócił się do niej jeden z rękodajnych i przemawiając po angielsku, jak umiał, to jest bardzo kiepsko, zapytał: „co będzie z tabakiem?”. Spojrzałem na niego wówczas przelotnie, a miałem go wkrótce lepiej poznać, na moje utrapienie. Był to niskiego wzrostu, rudowłosy mężczyzna o pałakowatych nogach i wielkiej głowie.

– Nic z tego na dzisiaj, Neil – odpowiedziała mu. – Jakże dostaniemy tabaki, skoro nie mamy pieniędzy? To cię nauczy bardziej uważać na przyszłość. A James More na pewno nie będzie z ciebie zadowolony.

– Wspomniałem już pani – zwróciłem się do panny Drummond – że dzień dzisiejszy jest dla mnie szczęśliwy. Tuż za mną stoi tragarz moich bankierów. Ale pamiętam o gościnności, z jakiej korzystałem w Balquhider, w pani rodzinnych okolicach.

– To nie moja rodzina pana gościła.

– Jestem jednak dłużnikiem pani stryja co najmniej za wygrywane na kobzie kuranty. Poza tym ofiarowałem pani moje usługi, a pani zapomniała ich w porę odmówić.

– Gdybym potrzebowała wielkiej sumy, taka propozycja przyniosłaby panu zaszczyt, ale powiem panu, o co chodzi. James More jest uwięziony, zakuty w kajdany i od pewnego czasu prowadzi go codziennie do prokuratora...

– Do prokuratora? Czy to...

– To jest dom lorda prokuratora Granta z Prestongrange. Przyprawiają tu o różnych porach mego ojca, nie mam pojęcia, w jakim celu. Ale zdaje mi się, że zaświtała dla niego jakaś nadzieja. Nie pozwalają mi jednak się z nim widywać, ani choćby pisać do niego. Czekamy więc tu, na ulicy, aby móc go spotkać i wręczyć mu nieco tabaki lub coś innego. Cóż, kiedy ten niezdara Neil, syn Duncana, zgubił czteropensową monetę, za którą miałam kupić tabaki. James More będzie musiał się bez niej obejść i gotów pomyśleć, że jego córka zapomniała o nim.

Wydobyłem z kieszeni sześć pensów, podałem je Neilowi i posłałem go po tabakę. Po czym rzekłem do niej: – Te sześć pensów przyniosłem z Balquhider.

– A więc pan jest przyjacielem Macgregorów!

– Nie chciałbym pani w błąd wprowadzać. Niewiele mi wiadomo o pani rodzinie, a jeszcze mniej o pani ojcu i jego poczynaniach, ale stojąc od pewnego już czasu w tym zaułku, dowiedziałem się coś niecoś o pani i jeśli pani zechce mnie uznać po prostu za „przyjaciela panny Katriony”, nie sądzę, aby spotkał panią zawód.

– Mój przyjaciel winien być przyjacielem mojej rodziny.

– Postaram się o to.

– A cóż pan o mnie pomyśli? – wykrzyknęła. – Że wyciągam rękę do pierwszego lepszego mężczyzny?

– Pomyślę tylko, że jest pani dobrą córką.

– Zwrócę panu ten dług. Gdzie pan zamieszkał?

– Prawdę powiedziawszy, nigdzie jeszcze nie mieszkam, gdyż od trzech godzin zaledwie przebywam w tym mieście, ale jeśli pani mi wskaże, gdzie mam się udać, sam się zgłoszę ośmielę po moje sześć pensów.

– Czy aby na pewno pan to uczyni?

– Może się pani o to nie kłopotać.

– James More również by tego nie zniósł. Mieszkam opodal wioski Dean, po północnej stronie zatoki, u pani Drummond-Ogilvy z Allardyce. Ona przyjaźni się ze mną i chętnie panu osobiście podziękuje.

– Ujrzy mnie pani, gdy tylko na to pozwolą sprawy, jakie mam do załatwienia. – I pomny na los Alana, pożegnałem się z nią pośpiesznie.

Co czyniąc nie mogłem się obronić przed refleksją, że jak na tak krótką znajomość do niezwykłej doszliśmy konfidencji i że prawdziwie przezorna lady nie powinna tak rychło do niej dopuścić. Bieg tych cierpkich myśli odwrócił głos idącego za mną tragarza.

– Miałem pana za jako tako łebskiego chłopaka – wyrzekał głośno. – Tą drogą daleko pan nie zajędzie. Głupiego pieniądze się nie trzymają. Eh, panie, zielono macie jeszcze w głowie, ale za to jurny z was panicz, nie ma co! A takie są łase na każdy grosz...

– Jak śmiesz tak mówić o tej lady...

– Lady? – wykrzyknął – Boże uchroni! To się nazywa lady? Pełno takich jest w mieście! Widać, że nie znacie, panie, Edynburga!

Rozgniewała mnie ta perora.

– Prowadź mnie, gdzie ci kazałem, i zamknij swoją paskudną gębę!

Nie usłuchał mnie jednak całkowicie; i aczkolwiek nie zwracał się już do mnie bezpośrednio, zaczął podśpiewywać, bezczelnie do mnie pijąc, a na dobitkę nader przykrym i fałszywym głosem:

*Idąc ulicą Mally zgubiła kapturek,
Lecz ty dla niej nie trać głowy, młokosie,
Wszak niejednemu psu na imię Burek,
Nie zawsze słonko wschodzi po rosie.*

II. PRAWNIK CHARLES STEWART

Charles Stewart, prawnik z zawodu, mieszkał na samym szczycie najdłuższych schodów, jakie kiedykolwiek zbudowali murarze. Co najmniej piętnaście razy zakręcały w górę, a gdy wreszcie dotarłem do jego drzwi i dowiedziałem się od kancelisty, który je otworzył, że jego pan jest w domu, tchu mi zaledwie starczyło na odprawienie tragarza.

– Wynoś mi się na cztery wiatry! – powiedziałem, odbierając od niego miszkę z pieniędzmi, i wszedłem za pisarczykiem do mieszkania pana Stewarta.

W pierwszej izbie mieściła się kancelaria; obszerny stół zasłany prawniczymi dokumentami i stojące przy nim krzesło pisarza składały się na umeblowanie. Stamtąd wchodziło się do drugiej izby, gdzie zastałem małego, rześko wyglądającego mężczyznę, tak pogrążonego w lekturze jakiegoś aktu, iż prawie oczu na mnie nie podniósł. Nawet palcem przytrzymał czytane miejsce, jakby zamierzał wkrótce mnie się pozbyć i powrócić do znajdującego się przed nim tekstu. Poczulem się tym dotknięty, a ponadto obawiałem się, że pisarz może z łatwością podsłuchać wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia.

Zapytałem go, czy mam przed sobą pana Charlesa Stewarta, prawnika.

– Tak jest – odpowiedział – i jeśli mi wolno zapytać, z kim mam do czynienia?

– Nigdy pan o mnie nie słyszał, a moje nazwisko jest również panu obce, ale przynoszę znak dobrze panu znanego przyjaciela. Dobrze panu znanego – powtórzyłem, zniżając głos – chociaż, być może, wolałby pan teraz o nim nie słyszeć. Sprawa, jaką mam panu do przedstawienia, należy raczej do poufnych. Krótko mówiąc, chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy.

Powstał bez słowa, odrzucił swój dokument gestem zdradzającym zły humor, posłał pisarza do miasta z jakimś zleceniem i zamknął za nim drzwi.

– A teraz proszę mówić otwarcie i bez obawy; lecz zanim pan zacznie, chciałbym wyznać bez ogródek moje złe przecucie. Powiadam panu z góry: jest pan albo Stewartem, albo Stewarta wysłannikiem. Godne to jest nazwisko i nie przystoi je lekceważyć synowi mego ojca, ale skóra na mnie cierpię, gdy je usłyszę.

– Nazywam się Balfour, Dawid Balfour z Shaws. A jeśli chodzi o tego, w którego imieniu tu przybyłem, ten znak niech za mnie przemówi. – I pokazałem mu srebrny guzik.

– Włóżcie to, panie, z powrotem do kieszeni! – wykrzyknął. – Nie trza mi mówić, do kogo to należy. Znam dobrze jego guzik! To czarta kumoter! Gdzie on jest teraz?

Powiedziałem mu, że nie wiem, gdzie się Alan znajduje, że znalazł sobie bezpieczne (jak mniemał) schronienie za miastem, w kierunku północnym, gdzie miał się ukrywać aż do czasu, gdy uda się nam wyszukać ,

dla niego statek, oraz gdzie i w jaki sposób umówiliśmy z nim spotkanie.

– Zawsze byłem zdania, iż przez tę moją rodzinę przyjdzie mi żywot na szubienicy zakończyć! I dalibóg ten dzień się zbliża! Wyszukać dla niego statek? Bagatela! A któż za to zapłaci? Ten człowiek ma źle w głowie!

– Ten aspekt sprawy biorę na siebie. Oto jest spory worek pieniędzy, a jeśli ich nie stanie, gotów jestem więcej dostarczyć.

– Nie potrzebuję pana pytać o jego polityczne poglądy.

– Nie, zaiste – odpowiedziałem z uśmiechem. – Trudno o lepszego ode mnie wiga.

– He? Co to znaczy? Pan jest wigiem? Cóż zatem pan u mnie robi z guzikiem Alana? W jakież to pan popadł tarapaty, panie wig? On jest banitą i rebeliantem, oskarżonym o morderstwo, dwieście funtów nagrody wyznaczono za jego głowę. A pan chciałby, abym się wtrącał do jego spraw, i oznajmia pan jednocześnie, że jest wigiem! Nigdy jeszcze takiego wiga nie spotkałem, chociaż już z niejednym miałem do czynienia!

– On jest banitą oraz rebeliantem i wielce nad tym ubolewam, należy bowiem do moich przyjaciół. Oskarżają go również o morderstwo, ale niesłusznie.

– Doprawdy? To jest pańskie zdanie!

– Wkrótce pan o tym więcej usłyszysz. Alan jest niewinny, jak również James.

– Tak? Obie te sprawy są nierozłączne. Jeśli Alana to nie dotyczy, James winien uratować głowę i wolność odzyskać.

Po czym opowiedziałem mu pokrótce o naszej z Alanem znajomości, o mojej przypadkowej obecności w miejscu morderstwa w Appin, o różnych przygodach podczas naszej ucieczki we wrzosowiska oraz o odzyskaniu przeze mnie mego majątku. – Zna pan teraz cały przebieg wypadków – mówiłem dalej – i wie już pan, jak się to stało, iż jestem do tego stopnia wplątany w sprawy pańskiej rodziny i przyjaciół, a wolałbym, ze względu na nas wszystkich, aby były one mniej zagmatwane, a zwłaszcza mniej krwawe. Rozumie pan również, że ponieważ niektórych spraw, jakie mam do załatwienia, nie mógłbym powierzyć byle jakiemu prawnikowi, wybranemu na chybił trafił. Pozostaje mi więc tylko zapytać, czy mogę liczyć na pańskie usługi.

– Niełatwo mi to przychodzi, ale skoro pan przybywa do mnie z guzikiem Alana... nie mam wyboru. Jakie są pańskie instrukcje? – zapytał, biorąc pióro do ręki.

– Po pierwsze należy przemyścić Alana do Francji, tego chyba nie potrzebuję powtarzać.

– Nieskory jestem o tym zapomnieć.

– Następną sprawą jest zwrot drobnej sumy pożyczonej mi przez Cluny'ego. Nie wiem, jak mu ją dostarczyć, dla pana natomiast nie powinno to przedstawiać trudności. Wynosi to dwa funty, pięć szylingów i półtora pensa.

Stewart zapisał to zlecenie.

– Następnie chciałbym ofiarować nieco tabaki do zażywania niejakiemu panu Henderlandowi, kaznodziei i misjonarzowi, zamieszkałemu w Ardgour, a ponieważ utrzymuje pan zapewne stosunki ze swymi przyjaciółmi w Appin i tamtych stronach, sądzę, że mógłby pan załatwić tę sprawę wraz z poprzednią.

– Ile tabaki pan mu przeznacza?

– Ze dwa funty.

– Dwa funty – zapisał prawnik.

– Następnie chodzi o tę dziewczynę, Alison Hastie, z Limekilns. Ona to pomogła Alanowi i mnie przeprowić się przez zatokę. Sumienie mi nakazuje posłać jej odświętną suknię, nie za strojną, licującą z jej stanem. Prawdę powiedziawszy, obaj zawdzięczamy jej życie.

– Miło mi stwierdzić, że jest pan człowiekiem oszczędnym – rzekł prawnik, zapisując moje zlecenia.

– Wstydzilibym się postępować inaczej w pierwszym dniu władania moją fortuną. A teraz proszę obliczyć, ile razem wyniosą te wszystkie wydatki, i dodać do nich pańskie wynagrodzenie, chciałbym bowiem wiedzieć, czy mi coś z przyniesionej gotowizny zostanie. Nie żebym miał poskąpić całej tej sumy na uratowanie Alana; nie żebym większą nie rozporządzał; lecz podjąwszy dzisiaj tak znaczną sumę, uważam, że źle by to mogło o mnie świadczyć, gdybym już następnego dnia zażądał więcej pieniędzy. Tylko proszę się upewnić, że na wszystko panu starczy, nie chciałbym bowiem ponownie się z panem spotykać.

– Chwali się, że jest pan również człowiekiem ostrożnym, ale czy nie sądzi pan, że powierając mi tak znaczną kwotę ponosi pan pewne ryzyko?

W jego głosie zabrzmiała wyraźnie drwiąca nuta.

– Muszę się z tym pogodzić – odpowiedziałem. – Ale pragnąłbym jeszcze jedną od pana uzyskać przysługę. Proszę mi wskazać jakąś kwaterę, gdyż nie mam dachu nad głową. Musi to być jednak takie mieszkanie, które mógłbym sam przypadkowo znaleźć. Gdyby się bowiem lord prokurator dowiedział o naszej znajomości, nic dobrego by z tego dla nas nie wynikło.

– O to może się pan nie troskać. Nie wymówię nigdy pańskiego nazwiska. Aczkolwiek sądzę, że lord prokurator dużo traci nie znając pana.

Zdałem sobie sprawę, że naraziłem się memu rozmówcy.

– Wkrótce się więc ucieszy, pozna mnie bowiem, i to nie później jak jutro, i choćby sobie uszy zatykał, wysłucha mnie, gdy mu złożę wizytę.

– Złoży mu pan wizytę? – powtórzył pan Stewart. – Czyś pan oszalał? Czy też mnie się w głowie maści? Wizyta u lorda prokuratora! A to po co?

– Po prostu, aby się oddać do jego dyspozycji.

– Panie Balfour! Czy pan kpi sobie ze mnie?

– Bynajmniej, panie Stewart, chociaż wydaje mi się, że na coś podobnego pan sobie względem mnie pozwolił. Proszę przyjąć do wiadomości, że nie jestem w żartobliwym nastroju.

– Ani ja również, i proszę przyjąć do wiadomości, jeśli już tak rozmawiamy, że pańskie postępowanie coraz mniej mi przypada do gustu. Przychodzi pan do mnie i czyni różne propozycje, z których każda wymaga z mojej strony karygodnych poczynań i naraża mnie na obcowanie, i to nie raz, z bardzo obciążonymi osobami. Po czym wybiera się pan prosto z mojej kancelarii do lorda prokuratora, chcąc sobie pozyskać jego względy. Guzik Alana tu czy tam, wszystko mi jedno! Nawet cały Alan nie zdoła pchnąć mnie dalej na tę śliską drogę!

– Gdyby pan zechciał nieco spokojniej rozważyć moje słowa, znalazłby się może sposób uniknięcia kroku budzącego pański sprzeciw. Co do mnie, nie widzę innego wyjścia, jak zdać się na łaskę lorda prokuratora, ale pan może zdoła coś innego wykoncypować. Powitałbym to z ulgą nie lada, gdyż wątpię, aby rozmowa z lordem prokuratorem mogła mi wyjść na zdrowie. Jedno przynajmniej jest jasne: muszę złożyć zeznania, gdyż czyniąc to, mam nadzieję oczyścić reputację Alana (a raczej jej szczątki) i uratować głowę Jamesa, co jest pilniejszą sprawą.

Prawnik milczał przez krótką chwilę, wreszcie rzekł:

– Ależ człowieku! Nigdy panu nie pozwolą złożyć takich zeznań.

– To się jeszcze okaże – odparłem. – Gdy zechcę, potrafię być nieugięty.

– Tępa głowo! – wykrzyknął. – Przecież im chodzi o Jamesa. On ma zawisnąć na szubienicy, jak również Alan, o ile zdołają go schwytać. Ale cokolwiek się stanie, los Jamesa jest przypieczętowany! Niechże pan choćby tylko zbliży się do lorda prokuratora, znajdzie on sposób na zakneblowanie panu ust.

– Lepszą mam o nim opinię.

– Pal diabli lorda prokuratora! Przecież tu w grę wchodzi Campbelle! Ściągnie pan sobie na głowę wściekłość całego ich zbójckiego klanu! A lord prokurator – nieboże! – jego to również nie ominie. Dziwię się doprawdy, że nie może pan zrozumieć, w czym leży sedno sprawy! Jeśli nie uda się uczciwym sposobem zmusić pana do milczenia, znajdzie się sposób inny. Może pan zasiąść na ławie oskarżonych! Czyż pan tego nie rozumie? – wykrzyknął, trącając mnie palcem w udo.

– Tak – odrzekłem – to samo mi powiedział inny prawnik, nie dalej jak dzisiaj rano.

– Któż to taki? Ten przynajmniej mówił do rzeczy!

– Wolę przemilczeć jego nazwisko, gdyż jest to stary, zacny, wypróbowany wig, który nie chce się mieszać do takich spraw.

– Cały świat wydaje się być w to wmieszany! – zawołał Stewart. – A cóż pan na to?

Opowiedziałem mu treść naszej z Rankeillorem rozmowy przed domem w Shaws.

– Powieszają pana, ani chybi. Powieszają pana obok Jamesa. Tyle mogę z łatwością przepowiedzieć.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, chociaż zdaję sobie sprawę z ryzyka.

– Ryzyko! – rzekł i czas jakiś siedział zamyślony. Po czym mówił dalej: – Winienem panu podziękować za niezłomność, z jaką pan stoi po stronie moich przyjaciół, jeśli naturalnie zdoła pan wytrwać w swym postanowieniu. Ostrzegam tylko, że to jest niebezpieczna gra. Nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórce (ja, który należę do rodziny Stewartów!) dla wszystkich Stewartów zrodzonych od czasów Noego. Ryzyko? Ja też często ryzykuję. Lecz stanąć przed sądem przysięgłych, złożonym z samych Campbellów, przed obliczem sędziego Campbella, w kraju Campbellów i gdy chodzi o rodzinną waśń Campbellów – może pan sobie, co zechce, o mnie pomyśleć, panie Balfour, ale nie potrafiłbym się na to zdobyć!

– Inaczej się na to zapatrujemy, tak właśnie nauczył mnie postępować mój ojciec.

– Chwała mu za to niech świeci wiekuista! Godnego swego nazwiska pozostawił dziedzica. Jednakże niech mnie pan zbyt surowo nie sądzi. Wszak znajduję się w diabelnie trudnym położeniu. Pan powiada o sobie, że jest wigiem. Ja zaś nie wiem właściwie, kim jestem; na pewno nie wigiem. Nie potrafiłbym się do nich zaliczyć. Ale proszę mi wierzyć, nie jestem aż tak bardzo po tamtej stronie.

– Doprawdy? Nie dziwi mnie to, wszak nader roztropnym wydaje się pan być człowiekiem.

– Sza! Żadnych pochlebstw! Nieco racji mają obie strony. Lecz ja osobiście nic złego nie życzę królowi Jerzemu. A jeśli chodzi o króla Jakuba – niech mu Bóg błogosławi – nie mam nic przeciwko temu, aby pozostał za morzem. Jestem prawnikiem, lubię moje książki i gąsiorzek dobrego napitku, lubię gruntownie umotywowany pozew i dobrze zredagowany dokument, lubię podyskutować z tęgimi jurystami i zagrać w golfa w sobotę po południu. Nic mi po góralskich pledach i pałaszach!

– Istotnie niewiele ma pan w sobie z dzikiego górala!

– Niewiele? Ani krzty! A jednak do góralskiej należę rodziny i nie mogę lekceważyć mego klanu. Klan i nazwisko – to wszystkich obowiązuje. Tak właśnie, jak pan to powiedział o sobie: mój ojciec mnie tego nauczył: i ładnie na tym wychodzę! Zdrada, zdrajcy i przemykanie ich z kraju i do kraju. I zaciąg dla Francji – jakże mam tego dosyć! – i przemykanie rekrutów. A do tego jeszcze ich roszczenia! Cóż za żalosne roszczenia! Złożyłem właśnie taki pozew w imieniu mego kuzyna Ardshiela o majątek z tytułu ślubnego kontraktu. Skonfiskowany majątek! Powiedziałem im, że to nie ma sensu, ale nawet słyszeć o tym nie chcą! Musiałem więc oczami świecić i nadrabiać miną wraz z innym adwokatem, któremu jak i mnie nie w smak taka sprawa. Wszak to nas kompromituje, odium niemałe na nas ściąga, piętnem nieprawomyślności – jak krnąbrne bydło! – piętnuje nasze pośladki! Ale cóż mogę na to poradzić? Jestem Stewartem i muszę bronić interesów mego klanu i mojej rodziny! A jeszcze nie dalej jak wczoraj uwięzili w zamku jednego z naszych młodych Stewartów. Za co? Wiem dobrze: ustawa z 1736 roku, rekrutacja dla króla Ludwika. I może pan być pewny, że zażąda, abym stanął w sądzie jako jego obrońca, co znowu szpetnie zaciąży na mojej reputacji. Powiadam panu otwarcie: gdybym umiał odróżnić przód od tyłu w hebrajskim słowie, rzuciłbym to wszystko do wszystkich diabłów i został duchownym!

– Zaiste, w raczej trudnym znajduje się pan położeniu.

– Diabelnie trudnym! I tym bardziej podziwiam pańskie postępowanie. Nie jest pan Stewartem, a naraża pan własną głowę na rzecz Stewartów. A dlaczego? Nie wiem, chyba że z poczucia obowiązku.

- Mam nadzieję, że to właśnie mną kieruje.
- Piękna to jest cnota... Ale oto powraca mój pisarz, więc z pańskim łaskawym pozwoleniem zjemy sobie we trójkę obiad. Po czym skieruję pana do bardzo przyzwoitego człowieka, który chętnie wynajmie panu pokój. W tym celu napełnię panu kieszenie z tego pańskiego worka. Ta sprawa nie będzie tak wiele kosztować, jak się pan tego spodziewa, łącznie z zapłatą za przewóz statkiem.
- Dałem mu znak, że zbliżający się pisarz może dosłyszeć jego słowa.
- Furda! Roba może się pan nie obawiać. Ten nieborak to również Stewart. Przemycił już do Francji więcej rekrutów i wędrownych papistów, niż ma włosów na głowie. To on właśnie zajmuje się tym aspektem mojej działalności. Słuchaj no, Robbie, kto tym razem mógłby się wybrać na tamtą stronę?
- Jest Andie Scougal z „Thistle” – odrzekł pisarz. – Parę dni temu spotkałem kapitana Hoseason, ale zdaje mi się, że on nie rozporządza statkiem. Jest również Tom Stobo. Ale jego nie jestem pewny. Widziałem go, jak gawędził z jakimś podejrzanym jegomościem i jeśli chodzi o kogoś ważnego, wołałbym go pominąć.
- Ta głowa jest warta dwieście funtów.
- Ho, ho, czy to nie Alan Breck?
- Tenże sam.
- Do licha! To poważna sprawa. Spróbuję się dogadać z Andym. On się najlepiej nada.
- Te transakcje – wtrąciłem – wydają się doskonale prosperować.
- Aż nazbyt dobrze, panie Balfour – odrzekł Stewart.
- Pański pisarz – mówiłem dalej – wymienił nazwisko Hoseason. Przypuszczam, że chodzi o mego znajomego. Kapitan Hoseason, właściciel brygu „Covenant”. Czy pan sądzi, że można mu zaufać?
- Względem pana tudzież Alana nie zachował się przyzwoicie, lecz ja jestem o nim dobrego zdania. Jeśliby się umówił przyjąć Alana na swój statek, uważam, że można by na niego liczyć. Co myślisz o tym, Robbie?
- Eli Hoseason jest najuczciwszym z kapitanów w tym zawodzie – odpowiedział pisarz. – Zawierzyłbym jego słowu, nawet gdyby chodziło o księcia Karola Edwarda lub samego Ardshiela z Appin.
- Wszak to on przywiózł doktora Cameron? – spytał prawnik.
- Tak, on właśnie.
- I odwiózł go z powrotem?
- Tak, z pełną sakiewką. I Eli wiedział o tym.
- Nielatwo jest – powiedziałem – mieć właściwy sąd o ludziach.
- O tym właśnie zapomniałem, gdy się pan u mnie zjawił, panie Balfour – odrzekł Stewart.

III. WIZYTA W PILRIG

Nazajutrz rano, za ledwie otworzyłem oczy w moim nowym mieszkaniu, zerwałem się z łóżka i przyoblekwszy moją nową odzież i przełknawszy pośpiesznie śniadanie wyruszyłem do Pilrig. Alan, mogłem na to liczyć, był zabezpieczony. Natomiast rozgrywka o Jamesa zapowiadała się o wiele trudniej i zdawałem sobie sprawę, że może mnie drogo kosztować, a kto wie, czy nie zakończy się tak właśnie, jak przepowiadali wszyscy, którym się zwierzyłem. Czyżbym po to tylko wyostał się na szczyt góry, aby się stamtąd rzucić w dół z powrotem? Czy po to udało mi się po tylu trudach i niebezpieczeństwach dojść do majątku i uznania, do dostatniej, miejskiej odzieży i szpady u boku, aby osiągnąwszy to wszystko popełnić samobójstwo, i to najgorszego rodzaju, przez powieszenie na koszt Króla Jegomości?

I po co się tak narażam? – rozmyślałem idąc przez High Street na północ miasta. – Po pierwsze – argumentowałem – po to, aby uratować Jamesa Stewarta z Glens; wspomnienie jego rozpacz, łez jego żony i słów, jakie mu się wówczas wyrwały, utwierdzało mnie w tym postanowieniu. Czyż jednak dla syna mego ojca nie było (lub nie powinno być) rzeczą obojętną, czy James zakończy życie w łóżku, czy też na szubienicy? Był kuzynem Alana, to pewne; lecz właśnie ze względu na Alana należałoby siedzieć cicho i nie wtrącać się do sposobu, w jaki król Jerzy i jasnie oświecony książę Argyle zamierzali załatwić swe porachunki z jego krewniakiem. Pamiętałem również, że wtedy, gdy wszyscy trzej znajdowaliśmy się w nie lada opałach, James nie okazywał zbytniej troski o los mój i Alana.

Następnie przyszło mi na myśl, że działam w obronie sprawiedliwości, a uważałem, iż to jest wielkie słowo, i uświadomiłem sobie, że skoro w życiu obowiązują pewne zasady (co nie zawsze bywa nam na rękę), sprawiedliwość jest najwyższym dobrem, a śmierć niewinnego człowieka kala całe społeczeństwo. Po czym odezwał się głos sumienia: „udajesz tylko, jakobyś te szlachetne motywy miał na względzie, jesteś tylko gadatliwym, zarozumiałym młokosem, który przechwalał się przed Rankeillorem i przed Stewartem, a teraz czujesz się tym związany”. A ponadto głos sumienia uderzył mnie drugim końcem tego samego kija; oskarżył mnie o coś w rodzaju wyrachowanego tchórzostwa, o chęć kupienia własnego bezpieczeństwa za cenę niewielkiego ryzyka. W każdej przeciw chwili mogłem spotkać Mungo Campbella lub urzędnika szeryfa, zostać przez nich poznanym i pociągniętym siłą do odpowiedzialności za udział w morderstwie dokonanym w Appin. Gdyby mi się natomiast udało złożyć lordowi prokuratorowi moją deklarację bez złych dla mnie następstw, mógłbym na zawsze już oddychać swobodniej. Rozważywszy w pełni ten ostatni argument nie znalazłem w nim nic, czego powinienem się wstydzić. I wreszcie do takiej doszedłem konkluzji: „Otwierają się przede mną dwie drogi, a obie prowadzą do tego samego celu. Sprawiedliwość wymaga, abym, jeśli to leży w mojej mocy, starał się nie dopuścić do skazania Jamesa na śmierć; po tylu z mojej strony perorach nie mogę, nie narażając się na śmieszność, nic nie uczynić. Szczęśliwym dla Jamesa trafem chwaliłem się ochoczo, zanim cokolwiek zdołałem przedsięwziąć, a i mnie to wyszło na dobre, teraz bowiem jestem zobowiązany bronić słusznej sprawy. Noszę nazwisko dżentelmena i rozporządzam godnymi tego stanu środkami. Kiepskie bym o sobie wydał świadectwo, gdyby się okazało, że jestem pozbawiony istotnych cech dżentelmena”. Przyszło mi zaraz potem na myśl, że jest to argument w pogańskim duchu i westchnąłem do Boga, prosząc go o dodanie mi męstwa, abym spełnił swój obowiązek jak żołnierz na polu bitwy i wyszedł z tego bez szwanku, jak się to nieraz zdarza.

Te refleksje, aczkolwiek nie zmniejszyły poczucia otaczającego mnie niebezpieczeństwa i nie uwolniły mnie od świadomości, że każdy dalszy krok (o ile bym nie zboczył z wytkniętej drogi) zbliżał mnie do szubienicy, dodały mi nieco otuchy. Poranek był pogodny, lecz wiatr dął od wschodu, niósł lekki, przejmujący chłód i przywodził na myśl jesień, obumierające liście i umarłych spoczywających w samotności cmentarnej. Zaiste szatan musiałby do tego ręki przyłożyć – myślałem sobie – gdybym miał życie postradać za cudzą sprawę wtedy właśnie, gdy uśmiechnęła się do mnie fortuna. Na szczycie pagórka zwanego Calton Hill, aczkolwiek nie była to zwyczajowa na tę zabawę pora roku, gromadka dzieci puszczała latawce, pokrzykując wesoło. Rysowały się wyraźnie na tle nieba i dostrzegłem, jak jeden wzniósł się bardzo wysoko i zaraz potem opadł w krzaki jałowca. Co widząc pomyślałem sobie: – Davie, i ciebie taki los spotka.

Droga wiodła przez wzgórze Mouter's Hill i wioskę położoną na ich zboczach. Przechodząc tamtędy, słyszałem rozlegający się z każdego domu furkot wrzecion i chrzęst warsztatów tkackich; w ogrodach brzęczały pszczoły. Wysiadujący na przyzbach mieszkańcy mówili dziwnym językiem i jak się później dowiedziałem, byli to tkacze francuscy, sprowadzeni z Pikardii i pracujący na rzecz domu handlowego British Linen Company. Tamże wskazano mi, jak iść do Pilrig, celu mojej podróży.

Po opuszczeniu wioski dostrzegłem wznoszącą się przy drodze szubienicę, a na niej dwóch wisielców, zakutych w łańcuchy. Zwłoki, jak to było wówczas we zwyczaju, były unurzane w smole. Kolebały się na wietrze, łańcuchy pobrzękiwały, a kraczące donośnie ptactwo krążyło dokoła tych niesamowitych huśtawek. Widok ten zaskoczył mnie nagle i tak dobrze zilustrował moje obawy, że nie mogłem od niego oczu oderwać, jakbym się napawał wionącą zeń grozą. Obszedłem szubienicę wkoło i natknąłem się na siedzącą u jej stóp pokraczną starą babę. Gadała sama do siebie kiwając głową i wyczyniając rękami uprzejme gesty.

– Kto są ci dwaj, matko? – spytałem wskazując na wisielców.

– Błogosławie twoje zacne oblicze! – zawołała. – To dwóch moich lubych. Dwóch moich najmilszych gagatków, chłopysiu!

– A za co ich tak pokarano?

– Eh, za drobną sprawę. Często im wróżyłam, jak skończą. Za dwa szylingi szkockie. Nie więcej. I za to dwóch tęgich chłopów powiesili. Wzięli je od jednej dziewczyny z Broughton.

– I za to tylko – powiedziałem do siebie, a nie do zwariowanej wiedźmy – spotkał ich aż taki los. To dopiero nazywa się stracić wszystko!

– Daj mi twoją dłoń, chłopysiu, i pozwól sobie powróżyć – rzekła stara.

– Nie, matko – odpowiedziałem – wiem już dosyć o tym, co mnie czeka. Nie należy zbyt daleko zaglądać w przyszłość.

– Czytam w twoich oczach. Jest tam dziewczyna o jasnych źrenicach, jest mały mężczyzna w sutym płaszczu i wysoki w pudrowanej peruce, i jest cień ciotki szubienicy przecinający ci drogę. Daj mi twoją rękę, chłopysiu, a starucha ci szczęście wywróży.

Te dwie rzucone na oślep wieszczby zdawały się wskazywać na Alana i córkę Jamesa More, co napęliło mnie przerażeniem. Rzuciłem wiedźmie miedziaka i uciekłem, pozostawiając ją siedzącą w cieniu kołyszących się wisielców.

Dalsza moja podróż byłaby o wiele przyjemniejsza, gdyby nie to spotkanie. Odwieczna, wyłożona kamieniami droga biegła wśród pól, a nigdy przedtem nie widziałem staranniej uprawnych. Radował mnie błogi nastrój i urok tego wiejskiego zacisza, lecz brzęk łańcuchów na szubienicy wciąż dźwięczał mi w uszach, a wspomnienie podrygów starej wiedźmy, krygującej się u stóp wisielców, nie dawało mi spokoju. Śmierć na szubienicy to smutny los, a czy ktoś zawisnął na niej za kradzież dwóch szkockich szylingów, czy też (jak powiadał pan Stewart) gwoli zadośćuczynienia poczuciu obowiązku, skoro go zakuto w kajdany, zanurzono w smole i powieszono – nie sprawiało to większej różnicy. Kto wie, czy tak właśnie nie miał umrzeć Dawid Balfour, a inni chłopcy przechodziliby obojętnie obok jego wiszących zwłok;

u stóp szubienicy siedziałyby stara, obłąkana czarownica i wróżyłyby im z ręki, a schludne, urodziwe dziewczęta przechodziłyby opodal, odwracając głowy i zatykając sobie nosy. Widziałem je wyraźnie, wszystkie miały siwe oczy, a na głowach toczki z tartanu o barwach rodziny Drummond.

Tak więc w markotnym nastroju, lubo nieugięty w moich postanowieniach, doszedłem do Pilrig, ładnego krytego dachówką domu, wznoszącego się niedaleko drogi i otoczonego bujnym, młodym lasem. Koń dziedzica stał osiodłany przed drzwiami, lecz on sam znajdował się w swoim gabinecie, wśród książek i instrumentów muzycznych, jako że był nie tylko uczonym filozofem, ale i niezłym muzykiem.

Powitał mnie od razu dosyć łaskawie, a po przeczytaniu listu pana Rankeillora wyraził uprzejmie gotowość służenia mi pomocą.

– O cóż chodzi, kuzynie Dawidzie? – rzekł. – Okazuje się bowiem, iż jesteśmy kuzynami. Co mogę dla pana uczynić? Słówek rekomendacji do lorda prokuratora? Łatwo mi to przyjdzie, ale jakiej treści?

– Gdybym panu opowiedział dokładnie, co i jak mi się przydarzyło, nie sądzę (a takie było również zdanie pana Rankeillora), aby pan był tym zbudowany.

– Przykro mi to słyszeć z ust krewniaka – odrzekł pan Balfour.

– Nie mogę pana pozostawić w tak złym o mnie mniemaniu. Nie mam nic takiego na sumieniu, nad czym winienem ubolewać lub co by uzasadniało pańską o to troskę, jak tylko pospolite wśród ludzi przywary. Skaza grzechu pierworodnego, z winy Adama, i ułomność całej mojej natury – do tego się poczuwam i mam nadzieję, że nauczono mnie, dokąd należy się zwracać o pomoc – odrzekłem; wywnioskowałem bowiem z postawy mego interlokutora, iż powołując się na moje religijne wychowanie mogę tylko zyskać w jego oczach. – Nie popełniłem nic takiego – mówiłem dalej – czego musiałbym się wstydzić przed ludźmi. Kłopoty, w jakich się znalazłem, powstały wbrew mojej woli – i jak mi się wydaje – bez mojej winy. Zostałem niestety wciągnięty w polityczne komplikacje, o których najchętniej wolałby pan nie wiedzieć.

– Ha, cóż, panie Dawidzie, cieszę się, że jest pan takim właśnie, jakim pana przedstawił pan Rankeillor. A jeśli chodzi o politykę i związane z nią zazwyczaj komplikacje, szczerą pan tylko prawdę powiada. Przyjąłem za zasadę jej unikać i nic nie mieć wspólnego z tą materią. Jakże jednak, skoro mam nie wiedzieć, w czym rzecz, mógłbym panu dopomóc?

– Chciałbym pana prosić o łaskawe napisanie do Jego Wielmożności, że jestem majątnym młodym człowiekiem i należącym do dosyć dobrej rodziny. Oba te stwierdzenia będą zgodne z prawdą.

– Mam na to słowo pana Rankeillora i poczytuję je za dostateczną, w każdej okoliczności, rękojmię.

– Do czego mógłby pan dodać, o ile moje na to słowo panu wystarcza, że jestem bogobojnym wyznawcą naszego szkockiego kościoła, tudzież wiernym poddanym króla Jerzego, w takimże duchu wychowanym.

– Nic z tego nie może panu szkody przyczynić.

– Po czym mógłby pan nadmienić, że pragnę stanąć przed obliczem lorda prokuratora w bardzo ważnej sprawie, dotyczącej Jego Królewskiej Mości oraz wymiaru sprawiedliwości.

– Skoro nie mam usłyszeć, o jaką sprawę chodzi, nie mogę ocenić jej wagi i co za tym idzie, muszę ominąć słowo „bardzo ważnej”. Resztę natomiast gotów jestem sformułować zgodnie z pańskim życzeniem.

– Następnie zaś – rzekłem, pocierając sobie szyję ręką – bardzo by mi zależało, aby pan zechciał wtrącić słówko, które mogłoby mnie, w pewnej mierze, zabezpieczyć.

– Zabezpieczyć?... Zabezpieczyć, pan powiada? To jest cokolwiek zniechęcające słowo. Jeśli to jest aż tak niebezpieczna sprawa, przyznaję, iż wolałbym nie wdawać się w nią na oślep.

- Sądzę, że mógłbym określić w dwóch słowach, o co chodzi.
- To byłoby może najlepiej.
- Otóż chodzi o morderstwo w Appin.

Podniósł obie ręce ku niebu i wykrzyknął: – Wielki Boże!

Wszystko przepadło – pomyślałem sobie patrząc na wyraz jego twarzy i słysząc zawartą w jego głosie nutę przerażenia.

– Chciałbym panu wytłumaczyć...

– Dziękuję uprzejmie, nie chcę nic więcej o tym słyszeć. Oświadczam stanowczo, że nie chcę słyszeć. Ze względu na pańskie nazwisko oraz na pana Rankeillora, a może trochę i ze względu na pana samego, zrobię, co mogę, aby panu pomóc, ale nie chcę nic więcej słyszeć o faktach. Pierwszym natomiast moim obowiązkiem jest pana ostrzec. To są głębokie wody, panie Dawidzie, a pan jest młodym człowiekiem. Należy więc być ostrożnym i dwa razy się namyślić przed każdym krokiem.

– Mogę pana zapewnić, że myślałem o tym więcej niż dwukrotnie, panie Balfour, i pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na treść listu pana Rankeillora, w którym (w co nie wątpię) wspominał, iż aprobuję moje poczynania.

– Hm... hm... dobrze, zrobię, co będę mógł dla pana. Po czym wzięwszy papier i pióro siedział przez czas jakiś zadumany, aż wreszcie zaczął pisać, namyślając się nad każdym zdaniem.

– A więc pan Rankeillor udzielił swej aprobaty pańskim zamiarom? – zapytał po chwili.

– Po krótkiej na ten temat dyskusji polecił mi działać w imię Boga.

– Z Jego imieniem na ustach należy wszystko rozpoczynać – rzekł pan Balfour i powrócił do pisania. Wreszcie złożył swój podpis, odczytał powtórnie treść listu i znowu zwrócił się do mnie:

– Panie Dawidzie, oto jest list polecający, do którego przyłożę pieczęć, pozostawiając go otwartym i w takim stanie go panu wręcę, jak tego wymagają formy. Lecz ponieważ działałem na oślep, odczytam go panu, abys się przekonał, czy zawiera to właśnie, na czym panu zależy.

Pilrig, 26 sierpnia 1751

Wielce Miłościwy Lordzie Prokuratorze!

Pozwalam sobie niniejszym skierować do Waszej Wielmożności mego imiennika i kuzyna, urodzonego Dawida Balfoura z Shaws, młodego dżentelmena z nieposzlakowanej rodziny i dziedzica znacznych włości. Korzystał ponadto z cenniejszego przywileju bogobojnego wychowania, a jego polityczne poglądy mogą tylko zasługiwać na uznanie Waszej Wielmożności. Nie jestem wtajemniczony w sprawę pana Balfoura, lecz wiadomo mi jest, iż pragnie przedstawić osobiście pewien casus dotyczący Jego Królewskiej Mości oraz wymiaru sprawiedliwości, które to dziedziny, jak powszechnie wiadomo, leżą wielce Waszej Wielmożności na sercu. Pragnę nadmienić, że intencje tego młodego dżentelmena są znane i aprobowane przez pewnych jego przyjaciół, którzy z pełną nadziei troską będą oczekiwać wyniku jego przedsięwzięcia.

– Po czym – mówił pan Balfour – następują zwyczajowe formuły grzecznościowe oraz mój podpis. Zauważył pan, że piszę „pewnych jego przyjaciół”; mam nadzieję, że ta liczba mnoga jest uzasadniona?

– Najzupełniej; moje zamiary są znane i aprobowane przez niejedną osobę. A list pański, za co gorąco dziękuję, zawiera wszystko, na co mogłem liczyć.

– Nic więcej nie zdołałem z siebie wycisnąć – odrzekł pan Balfour. – A uwzględniając to, co mi wiadomo o sprawie, w którą zamierza pan się wplątać, pozostaje mi tylko prosić Boga, aby list ten okazał się w wystarczającej mierze skuteczny.

IV. U LORDA PROKURATORA PRESTONGRANGE

Mój krewniak zaprosił mnie na posiłek „gwoli – jak się wyraził – zadośćuczynienia honorowi tego domu” – więc rażniej mi się szło w powrotnej drodze. Pilno mi było uporać się z następnym stadium moich zabiegów, tak abym już nie mógł się wycofać. Dla kogoś bowiem znajdującego się w tak trudnym jak moje położeniu, świadomość, że wahania i pokusy nie mają już do niego dostępu, ma ogromne znaczenie. Toteż wielkie ogarnęło mnie rozczarowanie, gdy doszedłszy do siedziby lorda prokuratora dowiedziałem się, że jest nieobecny. Co było, jak sądzę, zgodne z prawdą w tej chwili i przez parę następnych godzin. Później jednak nie miałem wątpliwości, że powrócił do domu i zabawiał się z przyjaciółmi w sąsiednim pokoju. O moim zaś przybyciu nikt nie zdawał się pamiętać. I byłbym na pewno opuścił dom lorda prokuratora Prestongrange’a, gdyby mi tak nie zależało na niezwłocznym złożeniu mu mojej deklaracji i położeniu się spać z czystym sumieniem.

W alkierzyku, w którym mnie pozostawiono, znajdowało się sporo książek. Początkowo więc czytałem, nie mogłem jednak skupić myśli nad ich treścią. A że pogoda stawała się pochmurna i zmierzch zapadł wcześniej niż zwykle, musiałem wreszcie zrezygnować z tej (względnej zresztą) rozrywki i siedziałem w mrocznej i deprymującej pustce. Towarzystwa dotrzymywały mi tylko odgłosy rozmów w pobliżu, miły dźwięk klawesynu, a raz nawet głos śpiewającej kobiety.

Nie wiem, która być mogła godzina, ale ciemność panowała już od dawna, gdy otworzyły się drzwi alkierza i na tle światła ujrzałem postać wysokiego mężczyzny. Powstałem natychmiast z krzesła.

– Czy jest tam kto? – zapytał.

– Przyniosłem list od dziedzica z Pilrig do lorda prokuratora – odpowiedziałem.

– Czy dawno tu jesteś?

– Wolałbym nie obliczać, ile godzin.

– Pierwszy raz o tym słyszę – rzekł z uśmiechem. – Służba musiała o tobie zapomnieć. Ale doczekałeś się wreszcie: masz przed sobą lorda prokuratora Prestongrange’a.

Co rzekłszy, przeszedł do sąsiedniego pokoju, dokąd na dany przez niego znak, wszedłem za nim; zapalił świecę i usiadł przy swym urzędowym stole. Był to długi, ładny pokój, o ścianach całkowicie przysłoniętych książkami. Nikły promyk światła padający od ustawionej na rogu stołu świecy ukazał mi jego dorodną postać i stanowczą twarz. Na jego policzkach pałał silny rumieniec, oczy miał nieco załzawione i błyszczące, a zanim usiadł, zauważyłem, że chwieje się nieco na nogach. Był niewątpliwie po obfitej i zakrapianej wieczerzy, panował jednak całkowicie nad swym umysłem i wymową.

– Proszę siadać – rzekł – zobaczymy, co zawiera list z Pilrig.

Początkowo czytał niedbale, spojrzał na mnie z lekkim ukłonem, gdy doszedł do mego nazwiska, lecz przy ostatnim zdaniu widziałem, jak skupia uwagę, i jestem pewny, że odczytał je dwukrotnie. Podczas gdy to czynił, serce biło mi gwałtownie, przekroczyłem bowiem Rubikon i znajdowałem się na polu bitwy.

– Miło mi jest pana poznać, panie Balfour – rzekł po skończeniu lektury – i mam nadzieję, że przyjmie pan kielich wina.

– Wasza Wielmożność zechce mi łaskawie wybaczyć – odpowiedziałem – ale nie sądzę, aby mi to wyszło na korzyść. Przybyłem tutaj, jak wynika z listu, w dosyć poważnej sprawie, a nie będąc przyzwyczajony do wina, mógłbym zbyt łatwo utracić miarę.

– Pozostawiam to pańskiemu uznaniu, ale w takim razie, z pańskim pozwoleniem, sam zajrzę do butelki.

Zadzwoił i na ten sygnał lokaj przyniósł kieliszki i wino.

– Czy doprawdy nie przyłączy się pan do mnie? – mówił Prestongrange. – A więc za naszą znajomość! Czym mogę panu służyć?

– Powinienem może zacząć od stwierdzenia, iż zjawiłem się tutaj na skutek nader natarczywego zaproszenia ze strony Waszej Wielmożności.

– Wolę przyznać się od razu, że nigdy dotychczas o panu nie słyszałem.

– Istotnie, nazwisko moje jest nie znane Waszej Wielmożności. A jednak od pewnego czasu pragnie pan gorąco zawrzeć ze mną znajomość i oświadczył to pan publicznie.

– Byłbym panu zobowiązany za dostarczenie mi klucza do tej zagadki. Nie jestem jasnowidzącym jak prorok Daniel.

– W tym celu, gdybym był w żartobliwym nastroju – do czego mi bardzo daleko – mógłbym wysunąć względem Waszej Wielmożności roszczenie o dwieście funtów.

– Z jakiego tytułu?

– Z tytułu nagrody wyznaczonej za ujęcie mojej osoby.

Prestongrange odsunął daleko od siebie kielich i wyprostował się w krześle, w którym poprzednio siedział wygodnie rozparty.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

– „Wysoki, rosty chłopak, lat około osiemnastu, mówiący językiem Dolnej Szkocji, bez zarostu...”

– Rozpoznaję te słowa – przerwał mi lord prokurator – i jeśli przybył pan tutaj powodowany nierozważną intencją zabawy, mogą się one okazać niezwykle dla pana niebezpieczne.

– Przybywam tutaj w sprawie tak poważnej jak śmierć i życie i doskonale mnie pan rozumiał. Jestem chłopcem, z którym rozmawiał Campbell z Glenure w chwili, gdy został zastrzelony.

– Widząc pana tutaj, mogę tylko przypuszczać, iż uważa się pan za niewinnego?

– Taki wniosek jest najzupełniej słuszny. Jestem lojalnym poddanym króla Jerzego i gdybym miał sobie cokolwiek do zarzucenia, nie pojawiłbym się osobiście w domu Waszej Wielmożności.

– Bardzo się z tego cieszę, panie Balfour. Ta nikczemna zbrodnia należy do rzędu tych, które wykluczają wszelką pobłażliwość. Krew została przelana w barbarzyński sposób, zbrodnia ta stanowi bezpośredni bunt przeciwko Jego Królewskiej Mości i przeciwko całemu

naszemu porządkowi prawnemu, a dokonana została przez tych, o których wiadomo, że są jego publicznymi przeciwnikami. Takiego czynu na pewno nie puszcę płazem i proszę mi wierzyć, że uważam tę zbrodnię za urągającą osobiście Jego Królewskiej Mości.

– I niestety – dodałem cokolwiek sucho – urągającą osobiście innej wysoko postawionej osobie, której wolałbym nie wymieniać.

– Jeśli pańskie słowa wyrażają to, co pan ma na myśli, muszę panu oświadczyć, że uważam je za nieliczące z charakterem prawomyślnego poddanego Jego Królewskiej Mości. I gdyby były wypowiedziane publicznie, nie omieszkałbym zrobić z nich użytku. Pan sobie chyba nie zdaje dostatecznie sprawy z powagi swej sytuacji, inaczej bowiem unikałby pan jej pogarszania przez słowa uwłaczające wymiarowi sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości w tym kraju, powierzony mojej niegodnej osobie, nie liczy się z osobistymi względami.

– Wasza Wielmożność nadaje zbyt wielką wagę moim słowom. Powtórzyłem tylko to, co mówi się powszechnie w tym kraju, to, co słyszałem wszędzie i od osób o najróżniejszych poglądach.

– Zrozumie pan z czasem, po dojściu do większej roztropności, że nie należy polegać na tym, co ludzie mówią dokoła, a tym bardziej tego powtarzać. Atoli zwalnię pana z zarzutu przewrotnej intencji. Ów wielmoża – a poważamy go wszyscy – zaiste boleśnie dotknięty przez to barbarzyństwo, jest zbyt wysoko uplasowany, aby go takie kalumnie mogły osiągnąć. Książę Argyle – jak pan widzi, rozmawiam z panem otwarcie – przywiązuje wielką wagę do tej sprawy, podobnie jak i ja, gdyż obaj jesteśmy do tego zobowiązani z tytułu naszych funkcji sędziowskich tudzież z tytułu służby u Jego Królewskiej Mości; życzyłbym sobie, aby w tym naszym skorumpowanym wieku wszystkie ręce były równie czyste, jak nasze, od rodzinnych zawiści i sporów. Ponieważ jednak, w tym wypadku, ofiarą swego obowiązku padł Campbell – a któż kiedykolwiek godziwiej i lepiej niż Campbellowie świecił przykładem w tej dziedzinie? – ja to mówię, który nie jestem członkiem tej rodziny – a wódz tego wielkiego klanu jest obecnie (ku satysfakcji nas wszystkich) przewodniczącym Trybunału, mierne umysły i podłe języki rajcują w każdej karczmie w tym kraju. I oto młody dżentelmen, pan Balfour, jest na tyle nieostrożny, że staje się ich echem. – Wypowiedział to z wielką oratorską swadą, jakby się znajdował na sali sądowej, po czym powrócił do zwykłego tonu rozmowy. – To wszystko na marginesie, pozostaje mi się teraz dowiedzieć, co mam z panem począć?

– Zdaje mi się, że to ja powinienem się tego dowiedzieć od Waszej Wielmożności.

– To prawda, ale przybył pan do mnie z nie lada rekomendacją! Na tym liście podpisane jest dobre wigowskie nazwisko – mówił, biorąc na chwilę do ręki leżące na stole pismo – i poza sądowym trybem można zawsze dojść do jakiegoś porozumienia. Powiadam panu, panie Balfour, i powiadam z góry: miej się na baczności! Los pański zależy wyłącznie ode mnie. W takiej sprawie (mówię to z całym należnym mu szacunkiem) rozporządzam większą władzą niż sam Król Jegomość. I jeśli pozyska pan moje względy – oczywiście zgodnie z moim sumieniem – w dalszej ze mną rozmowie, jej treść może pozostać między nami.

– To znaczy? – zapytałem.

– To znaczy, panie Balfour, że jeśli będę z pana zadowolony, nikt się o niczym nie dowie, nie wyłączając pańskiej wizyty w moim domu. Jak pan widzi, nie wezwałem nawet mego pisarza.

Zrozumiałem, o co mu chodziło. – Wydaje mi się – odpowiedziałem – że jest rzeczą zbyt ważną, aby moja tutaj wizyta doszła do czyjejkolwiek wiadomości, chociaż nie wiem dokładnie, co mógłbym przez to zyskać. Nie wstydę się bynajmniej mego tutaj przybycia.

– Nie ma powodów się wstydić – rzekł zachęcająco – ani, jeśli zachowa pan ostrożność, obawiać się konsekwencji.

– Za przeproszeniem i z całym respektem dla Waszej Wielmożności niełatwo jest mnie nastraszyć.

– Nie leży to na pewno w moich zamiarach. A teraz przejdźmy do zeznań; ostrzegam pana, abyś nie mówił nic więcej, jak tylko odpowiadał na pytania, jakie panu zadam. Od tego w wielkiej mierze zależy pańskie bezpieczeństwo. Rozporządzam co prawda niemałą władzą dyskrecyjną, ale ma ona swe granice.

– Będę usiłował zastosować się do wskazówek Waszej Wielmożności.

Lord prokurator rozłożył arkusz papieru na stole i napisał nagłówek. – A więc – zaczął – był pan jakoby w lesie Lettermore w chwili zabójczego strzału. Czy znalazł się pan tam przypadkiem?

– Tak jest, przypadkiem.

– Jak doszło do rozmowy z Colinem Campbellem?

– Zapytałem go o drogę do Aucharn.

Zauważyłem, że nie zapisał tej odpowiedzi.